

1.

Kiedy zabrali jej sznurówki, pomyślała o innych. Tamte były zielone, coś znaczyły i żeby zachowały soczystą świeżość, często je prała. Od 2009 roku nie ona jedna wplatała je w trampki. Podobnych ludzi było tysiące. Patrzyli na uśmiech Mahmuda Ahmadi-neżada, a widzieli cały system zakazów i dyskryminacji, zaś w jego garniturach na wzór europejski dostrzegali przykrywkę dla religijnej ortodoksji, którą narzucał rodakom. Chcieli to wszystko zmienić. Nie udało się. Wielu trafiło do więzienia, w tym do najgorszego w Iranie, Evin. Każdego dnia zdarzały się egzekucje, a tym, których nie stracono, karę śmierci zamieniano na jedenaście lat odsiadki. Nie mogli być jednak pewni, czy jest to wyrok ostateczny i nie zawisną jak przyjaciele z celi, którzy jeszcze poprzedniego dnia dzielili się z nimi migdałami, a teraz zostały po nich jedynie papierowe torebki.

Miała szczęście. Nie było jej w domu, kiedy po nią przyszli. Uciekła.

Patrzyła teraz na swoje trzewiki o pustych dziurkach, na języki butów wywalone na zewnątrz jak u zmęczonego psa i na własne stopy, które wysuwały się z obuwia, jakby założyła za duże. Poczowała się jak dziecko. I jak dziecko bezradna. Znała jedynie ojczysty farsi i trochę angielski. Ale tam nikt wtedy nie mówił po angielsku, a słowo „farsi” wzbudzało śmiech. Pokój, w którym ją zostawiono, przypominał wnętrze sześcianu i nie było wiadomo, gdzie sufit, gdzie podłoga, a gdyby nie to, że żyrandole z reguły zwisały z góry na dół, nie byłaby pewna, czy siedzi na podłodze czy na ścianie. Cela. I siedemdziesiąt dwie godziny niepokoju, czy dostanie jeszcze kubek wody, bo pierwszego dnia nie podali jej nawet kropelki. Trzy doby, żeby zrozumiała, że zamiast uciec od więzienia, trafiła do niego. „Co to za kraj?”, huczało jej w głowie, „Co to za kraj?”.

2.

Do zielonych sznurówek dobierała z reguły zieloną chustę. Strażnicy Rewolucji często zwracali jej uwagę na kolor i żeby mocniej nasuwała ją na włosy. Za bardzo było je widać, a to raziło ich uczucia religijne. Podobnie jak pomalowane na czerwono paznokcie i karminowa szminka na ustach. Pozwalała, by wiatr wydmuchiwał spod materiału pasma długich czarnych włosów. Zamiast na głowie chusta

spoczywała bardziej na ramionach, z tyłu wyglądała więc, jakby chroniła się przed deszczem, narzucając na siebie kawałek bawełny lub jeszcze lżejszego jedwabiu. Kiedy odzywała się w niej odwaga, a raczej złość, nie zakładała hidżabu w ogóle. I ku przerażeniu swojego chłopaka łapała go publicznie za rękę, czasem nawet obejmowała go wpół. Przechodnie reagowali od razu. „Dziewczyno, co robisz?”, „Nie wstyd ci?”, „Gdzie twoja moralność?”, „Nie boisz się?”, słyszała. W ośmiomilionowym Teheranie, w ciasnocie budynków ginących w cieniu okalających go gór, zdarzało jej się nikać w tłumie i wtedy czuła się jak w wolnym od uprzedzeń kraju. Wystarczyło jednak, że zbliżyła się do placu Wanak, a świadomość, że żyje w policyjnym państwie, powracała.

3.

Dali jej kombinezon i założyli kajdany. Przez brak sznurówek buty zsuwały się ze stóp i gubiąc je co chwila, nie mogła nadążyć za strażnikiem, który pędził do przodu nie wiadomo dlaczego. Musiała jakoś dojść do wyznaczonego pokoju i czekać na rozwiązanie sprawy. Ile? Nie wiedziała. Patrzyła na nieme usta strażnika i nie potrafiła wyczytać z nich niczego. Wszyscy omijali ją spojrzeniem, jakby jej w pomieszczeniu w ogóle nie było. Dręczyła ją myśl, że bliscy nie wiedzą, co się z nią dzieje. A przecież czekają.

Zabrali jej telefon komórkowy i nie była pewna, czy kiedykolwiek go odzyska. Gdyby chociaż pojawił się tłumacz – nie pojawił się. Gdyby chociaż przyszedł jakiś prawnik – nie przyszedł. Ona, aktywistka praw człowieka, czuła się teraz, jakby była niewidzialna dla prawa. Po trzech dniach powiedzieli tylko: – Pomyłka.

I odesłali do Lesznowoli.

4.

Babcię zapamiętała głównie przez zapach. Pachniała szafranem i kurkumą. Jeszcze siedem lat temu do głowy by jej nie przyszło, że ostatni raz, kiedy będzie ją widziała, wypadnie teraz w pamięci tak blado. Zwykły całus w policzek, bo przecież zobaczą się za dzień, dwa. Ale więcej już jej nie powącha. Nie była na pogrzebie. Nie mogła. W marcu 2016 roku spędziła ten dzień, patrząc na deszcz spływający ulicami szarej Warszawy.

Jeszcze sześć lat temu nigdy by też nie pomyślała, że jej marzeniem będzie poranna kawa z mamą. Teraz mogą patrzeć na siebie tylko przez kamerę Skype'a, zniekształcającą twarze jak w muzeum osobliwości. Zawsze się wtedy uśmiecha, bo nie chce jej martwić, że nie jest szczęśliwa. Ale kiedy znika obraz teherańskiego domu, długo przełyka kulę, która zagnieżdża się w gardle. Czasem czuje ją jeszcze przez kilka

godzin od rozmowy. Z mamą się pożegnała, z ojcem nie zdążyła.

5.

Alternatywna sytuacja. W 2006 roku ONZ nie nakłada sankcji gospodarczych na Iran, ona wciąż pracuje, tak jak pracowała, w firmie paliwowej handlującej z polskim konsorcjum. Wyjeżdża do Polski zgodnie z wcześniejszym planem na rok, może dwa, może trzy, ma pieniądze, służbowe mieszkanie, samochód, czuje się obywatelką świata. I przede wszystkim – jest bezpieczna.

Z życia, które nie doszło do skutku, została jej polska wiza wbita do paszportu. Z biegiem lat coraz bardziej zaczyna przypominać niechciany tatuaż. Gdyby nie ona, nie deportowaliby jej z Holandii. Uciekła do europejskich przyjaciół na fałszywych dokumentach. Prawdziwy paszport wciąż leży w szufladzie jednego ze Strażników Rewolucji. Wyciągnięto go jedynie raz, żeby potwierdzić, że Shirin Naeimi to ona, i dosięgnąć ją reżimowym palcem nawet z odległości ponad czterech tysięcy kilometrów. Rok w Holandii to przyjaciele, praca i myśl, że wszystko, co złe, dawno już za nią. Właściwie nie wie, jak ją znaleźli. Ale umowa z Dubliną mówi jasno: pierwszy kraj, który da ci wizę lub do którego wjedziesz, jest za ciebie

odpowiedzialny. Nieważne, czego chcesz ty. Ważne, z jakiego kraju przyjechałaś i jak wyglądasz. A Shirin wyglądała jak mieszkanka Bliskiego Wschodu. Dlatego samolot z Amsterdamu wylądował w Warszawie, a ona – w podziemnym areszcie.

6.

Jej numer brzmiał „czterdzieści osiem”. Kiedy pierwszego dnia w zamkniętym ośrodku dla uchodźców w Lesznowoli strażniczka zawołała liczbę, nie rozumiała. „Czterdzieści osiem” było ciężkie do wymówienia, do usłyszenia jeszcze cięższe. Te wszystkie „ś” i „dzi”. Siedziała w kilkuosobowym pokoju i patrzyła na kobietę w mundurze, która coraz głośniej i z coraz większym zniecierpliwieniem wołała numer. „Iran, Iran, Iran” rozległo się jeszcze głośniej i dopiero wtedy zrozumiała, że chodzi o nią. Wstała i podeszła.

– Shirin Naeimi – powiedziała, wskazując palcem najpierw na siebie, a potem na rubrykę w zeszytcie, który trzymała w dłoniach strażniczka.

– Czterdzieści osiem – odpowiedziała jej kobieta i gestem ręki, jakby zaganiała zwierzęta, wskazała, że powinna ruszyć przodem.

Ruszyła więc, czując na karku obcy oddech. Tak było za każdym razem przez dwa miesiące, ale tego pierwszego razu nie wiedziała jeszcze, że spędzi

tam aż sześćdziesiąt dni. Nie wiedziała właściwie do końca.

Powtarzała: – Shirin Naeimi.

Strażniczka odpowiadała: – Czterdzieści osiem.

Czterdzieści osiem to zlepek słów, którego Shirin nie mówi do dziś. Może powiedzieć „trzydzieści”, może powiedzieć „pięćdziesiąt”, „czterdzieści” nie wypowie nigdy. Nawet z „cztery” ma problem. I z „osiem”.